



32. ŁÓPTA - DZIEŃ DRUGI

Teatr Dratwa " Mały Książę "	str. 1
Teatr jednego aktora "EOL" " Walerka "	str. 3
Teatr KRZESIWO " Sztuka latania "	str. 4
Amatorski Teatr Niewielki " Dziady cz.II "	str. 5
WWW.TEATR.MA " Letnie małżeństwo "	str. 7
Teatr Zza Boru " Cztery Bliźniaczki "	str. 9
NIE-POKORNY Teatr "Po godzinach" " Złe towarzystwo "	str. 10
FACE To Face (F2F) " Pasożyty "	str. 12

Stowarzyszenie Inicjatyw Twórczych „DRATWA” – Mały Książę

Już nie taki mały Książę.

Zrządzeniem losu przyszło mi ponownie pisać recenzję ze spektaklu stworzonego przez Teatr DRATWA. Ubiegłoroczną "Pchłę Szachrajkę" oceniłem pozytywnie, jednocześnie zachęcając do dalszej pracy, poszukiwań, zadawania pytań. W tym roku miałem szansę obejrzenia ich najnowszego spektaklu pt. "Mały Książę". I jak? Zapytacie. No cóż. Będzie ciężko.

Zacznijmy jednak od pozytywów. wg zamysłu Twórców widz, przekraczając progi sali trafia do pewnego, raczej szemranego baru, o nazwie B612. Wśród nas przeciskają się jego stali bywalcy, a to czasem usiądą na widowni, kiedy indziej wrócą do swego stolika, czy krzesła przy barze. Widać pracę włożoną w scenografię i kostiumy. Lampy zawieszone pomiędzy reflektorami teatralnymi, stoliki, bar. Wszystko jest przemyślane i faktycznie buduje klimat miejsca w którym się znaleźliśmy. Bary są często zadymione, więc i dymiarzka pójdzie w ruch.

Tytułowy bohater spektaklu jest już dorosłym właścicielem baru. W tym tkwi podstawowa zmiana, która wywraca do góry nogami historię znaną z oryginału. Mały Książę nie jest podróżnikiem, a gospodarzem baru w którym goszczą kolejni bohaterowie historii. W tym uniwersum Lis jest barmanem, który na zlecenie właściciela baru, raz za razem polewa kolejne kolejki soku z Baobabu. Ponoć w takich miejscach można spotkać piękne, urzekające swym śpiewem kobiety. A i sam gospodarz chętnie zabawia swych gości swym śpiewem. Jednak czy na pewno? Szczerze mówiąc piosenki po prostu się pojawiają. A szkoda, można by to jakoś ładniej wprowadzić, szczególnie, że otoczką miejsca na to pozwala. Jednak póki co miały być pozytywy, więc dodam, że pod względem wokalnym było naprawdę dobrze. Spektakl porusza tematy istotne, zawarte w książce Antoine'a de Saint-Exupéry'ego. Małostkowość, śmieszność pragnień, brak elastyczności w patrzeniu na świat, egocentryzm i inne przywary ludzkie.

No to w czym problem?

Niestety problemów jest sporo. Mierząc się z tak znanymi i silnie osadzonymi w świadomości ludzkiej tekstami, musimy mieć naprawdę bardzo, bardzo mocny i dobry pomysł. Twórcy spektaklu podeszli do tego bardzo odważnie, stawiając wiele rzeczy na głowie. Nie bez powodu tytułowy bohater jest dzieckiem. Chodziło o metaforyczne spotkanie autora książki z samym sobą z dzieciństwa. Powrotem do czasu, kiedy paradoksalnie znał znacznie więcej odpowiedzi. A podróż Małego Księcia jest podróżą do dojrzewania i pojęcia istoty miłości i bliskości z drugim człowiekiem. W tej wersji "Mały" jak na niego wołają jest dorosłym dekadentem, niezwykle niedojrzałym człowiekiem, który ze sceny na scenę zamiast być coraz mądrzejszy, staje się coraz bardziej pijany. W efekcie wszystkie wartościowe i mądre rzeczy, które się w spektaklu znalazły, zgubiły się w dymie i soku z Baobabu.

Mały Książę zagubił swoją wrażliwość, skoro dramat pijaka, który pije by zapomnieć, puentuje "No tak to jest w B612". Rozumiem, że być może Twórcy chcieli ukazać do czego może doprowadzić taka postawa, ukazać go jako nieszczęśliwego, wrażliwego człowieka, kryjącego się za maską cynika. Niestety to wszystko nie wybrzmiało. Scena osławiania straciła całą magię i mądrość z pierwowzoru.

Zwracając uwagę na problemy techniczne, to niestety siedząc w drugim rzędzie, praktycznie nie słyszałem słów piosenek. Korzystając z pół playbacku, warto wykorzystać mikrofony pojemnościowe, czy też zwykłe. Wiele pracy włożonej w stworzenie atmosfery baru, poszło na marne, przez niedopieszczenie tego elementu. Jest to bardzo trudne zadanie, wymaga dużo precyzji. Bardzo łatwo sprawić, że drugi plan będzie odciągać uwagę od tego co najważniejsze, a ma być jedynie dopełnieniem. Nie może rozpraszać szeleszczeniem papierkami, wysypywaniem rzeczy z torebki, czy niepotrzebnym świeceniem lampą błyskową.

Mniej więcej od połowy spektaklu miałem wrażenie tego, że Twórcy zgubili pomysł jak to wszystko doprowadzić do końca. Ze względu na pewnego rodzaju monotonię (piosenka, scena, piosenka, scena) zaczęło pojawiać się znużenie. Naprawdę bardzo mnie to rozczarowało, ponieważ miałem spore nadzieje i oczekiwania. Niestety nie byłem ciekaw tego jak zakończy się ta historia.

JEDNAKŻE

Cieszy mnie ta odwaga. Widać, że Twórcy spektaklu chcieli zaryzykować i mieli na to pomysł. Cieszy, że nie stworzyli kolejnego spektaklu o niczym. Nie, ten miał mówić o wielu rzeczach. Ba! Mówi o ważnych rzeczach, które niestety z różnych względów umykają. Jednak z błędów trzeba wyciągać wnioski, próbować dalej i się rozwijać.

OCENA 3-/5

Remigiusz Pilarczyk

“Wspomnień czar”

Teatr jednego aktora “EOL” z Tomaszowa Mazowieckiego zaprezentował spektakl “Walerka”. A właściwie zaprezentowała go jedna osoba, pani Elżbieta Ołubek, która sama dźwignęła ciężar trudnego tekstu. Tekstu skupiającego się na bólu osamotnienia starszej kobiety.

Tytułowa Walerka od jakiegoś czasu jest wdową. Jak sama mówi, nigdy, po śmierci męża, nie była z żadnym innym mężczyzną. Wierzyła, że prawdziwa miłość, trafia się tylko raz w życiu. Nie ma już nikogo bliskiego obok siebie, ponieważ jej synowie znajdują się daleko poza domem. Kobieta nie ma tak naprawdę z kim porozmawiać. Trzyma w torebce wszystkie najważniejsze przedmioty. Rzeczy, które przypominają jej o bliskich osobach.

Walerka, uciekając przed samotnością, udaje się tam, gdzie może udać się każdy z nas - do swoich wspomnień. Przypomina sobie o czasach dzieciństwa, o czasie wojny, o swoich przyjaciółach i bliskich. O mężu i dzieciach. Widzimy rosnący ból, który do tej pory się w niej krył.

Pani Elżbieta Ołubek miała naprawdę kawał tekstu do zapamiętania. Tylko, że oglądając spektakl, nie widziałem aktorki wypowiadającej tekst. Widziałem kobietę, która doskonale rozumie swoją bohaterkę. Bohaterkę, która próbuje przekazać nam, widzom, aby pamiętać i dbać o swoich bliskich, ponieważ nigdy nie wiemy, kiedy staną się tylko tym, co pozostało Walerce - wspomnieniem.

OCENA: 4,5/5

Kuba Lisiak

“The Room”

Teatr Krzesiwo z Warszawy wystawił spektakl, który od początku do końca, kojarzył mi się z filmem “The Room”. I wcale nie chodzi mi o to, że “Sztuka Latania”, to słaby spektakl (jeżeli ktoś nie widział filmu, to gorąco polecam. Podobno najgorszy w historii kina), ponieważ tekst, którym posługiwali się aktorzy jest naprawdę świetny. Gorzej wypadł jednak jego przekaz. Duodram w którym występuje Michał Orchowski (Aktor Rzemieślnik) oraz Leszek Nurzyński (Aktor Romantyk), opowiada historię dwóch aktorów teatralnych, którzy, po próbie, zostają zamknięci na deskach teatru. Wykorzystując dodatkowy czas dyskutują na temat sztuki teatru. Tak jak wcześniej wspomniałem, Teatr Krzesiwo, dokonał doskonałego wyboru jeżeli chodzi o dobór tekstu. Pięknie pokazuje kłótnię i niezgodę między aktorami o tym, co sądzą o teatrze. Chłopaki świetnie wykorzystali scenę, ponieważ odbierało się wrażenie, że byli wszędzie. Jednak czasami można było odnieść wrażenie, że nie wiedzą do końca o czym mówią, a przynajmniej robili to w taki sposób, że nie byłem w stanie im uwierzyć. Były momenty kiedy trzeba było przekazać coś ważnego, bądź też powiedzieć to na poważnie, tak żeby dotarło to widza. Aktorzy jednak trochę popłynęli i wchodzi w tony komediowe i, w niektórych przypadkach, kabaretowe. Widać, że czują ten spektakl. Ale tak jak bohater filmu “The Room”, nie potrafią swojej pasji do teatru przekazać w odpowiedni sposób. Brakowało mi u nich prawdy. Prawdy, która przecież jest nieodzownym elementem sztuki teatralnej. Bez niej widz w nic nie uwierzy. Bez niej nie ma spektaklu. Bez niej, nie ma teatru.

OCENA: 3,5/5

Kuba Lisiak

Amatorski Teatr Niewielki – "Dziady cz. II"

Jak to jest z tymi Dziadami?

Stanisław Wyspiański, Leon Schiller, Aleksander Bardini, Jerzy Grotowski, Kazimierz Dejmek, Konrad Swiniarski. "Dziady" Adama Mickiewicza są dla polskiego teatru dziełem niezwykłym. Dramatem z którym mierzyli się wybitni reżyserzy i aktorzy. Tekstem znanym przez każdego Polaka, elementem podstawowej edukacji kulturalnej i kulturowej. Dlaczego o tym piszę? Inscenizacja Dziadów jest olbrzymim wyzwaniem, mierzeniem się z ciężarem tego co już zostało stworzone. Dodatkowo tekst dramatu wymaga od aktorów dużej dyscypliny i warsztatu, wszak jest pisany wierszem klasycznym w staropolszczyźnie.

"Co to będzie? Co to będzie?"

Woń kadzidła, scena pokryta liśćmi, migocące świeczki, ze względów bezpieczeństwa w wersji LED, garnki i wszystkie inne rekwizyty potrzebne by odprawić Obrzędy Dziadów. Chór wieśniaków i wieśniaczek w niepewności wyczekuje. Już za chwilę Guślarz pierwsze duchy dwa wywoła. Każdy z widzów zna kolejność zdarzeń. Toteż przejdźmy do konkretów.

"Mówcie, komu czego braknie"

Niestety w tym miejscu musimy przerwać i zastanowić się nad rzeczami istotnymi. Zabrakło naprawdę wielu rzeczy. Widać dużą pracę włożoną w scenografię, jednak czasami pojawiają się niekonsekwencje, które niszczą obraz całości. Czasami właśnie detale, jak garnek zabrany prosto z kuchni do którego udajemy, że coś wrzucamy, psują cały wysiłek. Decydując się na pewną konwencję (w tym przypadku całość była stylizowana na bliżej nieokreśloną przeszłość, raczej odległą, być może XIX w.) musimy być konsekwentni. Wiem, że istnieje coś takiego jak BHP i przepisy pożarowe, ale skoro dało się zastąpić prawdziwe świeczki, tymi ledowymi, może by się dało coś zrobić z garnkiem? W temacie BHP, to bardzo niebezpiecznym jest tłuczenie czegoś na scenie. Szczególnie w tak małej przestrzeni, to zagrożenie zarówno dla aktorów jak i widzów. Jeden z aktorów bosą stopą wszedł na resztki talerza, aktorka była bliska temu. W efekcie widz obawia się zarówno o swoje bezpieczeństwo, jak i aktorów na scenie. Podobnie z kostiumami, większość z nich jest ładnie skomponowana. Wcale nie potrzeba do tego wielkiego budżetu. Jednak współczesne buty potrafią wszystko zepsuć.

Przejdźmy do tego co ważne. Niestety aktorsko spektakl wypada bardzo słabo.

Jak już wspomniałem jest to bardzo trudny tekst. Mówienie wierszem klasycznym z założenia jest dość trudne. Co najważniejsze nie chodzi o to by mówić głośno, wyraźnie i z estymą. Podobnie jak przy mówieniu prozą podkładamy myśli i interpretujemy zdania, jednak dodatkowo jesteśmy związani rytmem i wszelkimi zasadami wiersza klasycznego. No i oczywiście nie ma miejsca na jakiegokolwiek zawahania czy pomyłki tekstowe. Na tym polu najlepiej wypadł Piotr Pietracho grający Guślarza 1. Potrafił przy tym utrzymać pewną charyzmę potrzebną dla tej roli. Pomimo znacznie mniejszych ilości tekstu wyróżniał się też Adam Lewandowski, u którego po prostu czułem, że wie co mówi i dlaczego.

Dodatkowo spektakl został okraszony muzyką Zimmera, Morricone czy Vangelisa. Muzyka też jest jednym ze znaków teatralnych i ma znaczenie. Szczególnie, kiedy korzystamy z utworów tak znanych twórców. Wtedy budujemy nawiązania do historii utworu, czy też tego gdzie został wykorzystany wcześniej. Podsumowując wiele dobrego napisać nie mogę. Nie widzę wiele celu w powstawaniu inscenizacji w takiej formie. Zbyt wiele już w tym temacie zrobiono: Schiller i teatr ogromny, Grotowski poszukujący rytuału, Dejmek i polityka, Swinarski i uczynienie widza częścią wydarzenia, czy Babicki współcześnie szukający prawd uniwersalnych.

A to tylko część twórców. Każdy zna tekst Dziadów, a dokładniej części drugiej, bo o niej tu mowa. Nie krytykuję chęci tworzenia teatru, wiele pracy włożono w ten spektakl.

Jednak może dobór tekstu nie był zbyt fortunny? A może przeciwnie? Warto poszukać czegoś więcej i stworzyć nową interpretację, taką prosto z Gąbina? A może przygotować spotkanie czytania performatywnego, połączone z opowieściami o samym obrzędzie? Szanuję włożony trud i pracę, ale niestety ocena spektaklu to:

OCENA: 2=/5

Taka dwójka z dwoma minusami.

Cytaty będące śródtytułami pochodzą z utworu Dziady część II, autorstwa Adama Mickiewicza.

Remigiusz Pilarczyk

WWW.TEATR.MA "Letnie Małżeństwo"

Powiem krótko - monodram Marty Andrzejczyk z Olsztyna to był najlepszy spektakl, jaki widziałem na tegorocznej Łópcie do tej pory. Z przyjemnością i determinacją biłem brawa aż do bólu. Swoją drogą jestem ciekawy, czy nie był to najdłużej oklaskiwany występ na tegorocznym przeglądzie. Oto trzy powody dlaczego:

SKROMNOŚĆ

Bardzo często na Łópcie obserwuję zespoły, które jeszcze zanim wyjdą na scenę domagają się uznania. Spójrzcie, jaki ambitny tekst wzięliśmy na warsztat. Spójrzcie, jak ambitnie do niego podeszliśmy. Spójrzcie, jak ambitnie gramy ten ambitny tekst. Ile w nas emocji. Przyznaję, ambicja w teatrze jest wskazana. Szukajmy dla siebie wyzwania, bo tylko dzięki temu będziemy się rozwijać. Na każdej Łópcie są takie zespoły, które na tak wysokie mniemanie o sobie faktycznie zasługują (bez względu na to, jak frustrujące potrafi to być). Jednak w większości przypadków jest to po prostu EGO, które przysłania fakt, że nie rozumie się tekstu -> nie wiemy, jak go zainscenizować -> nie wiemy, co gramy. W "Letnim małżeństwie" tych wygórowanych ambicji nie ma. Jest chęć opowiedzenia historii Kaśki i jej siedmioletniego małżeństwa. Jest zrozumienie tekstu, które ciągnie za sobą prostą formę. Taką, która nie odwraca uwagi od bohaterki. W ciągu 40 minut mamy poznać tę piękną, skromną i smutną kobietę. Mamy się z nią utożsamić i w końcu współczuć. Ponieważ ani Marta Andrzejczyk, ani reżyser spektaklu Przemek Wiśniewski nie pozwalają swojemu ego przesłonić tego celu, w efekcie wyszedłem ze spektaklu jak z rozmowy z przyjaciółką. Cel osiągnięty. Widz szczęśliwy i wzruszony.

SKUPIENIE

Ponieważ twórcy nie rzucają się z motyką na słońce, mogą całkowicie skupić się na tej niewielkiej ilości elementów, z których budują spektakl. Kilka krzeseł, których rozstawienie znaczy więcej niż wymyślne scenografie. Na początku są porzucane - tak jakby przed chwilą były uczestnikami jakichś dramatycznych wydarzeń. W trakcie opowiadanej przez Kaśkę historii, tworzą przestrzeń, sytuację, zastępują innych aktorów. Osaczają bohaterkę coraz bardziej. Stają jedno na drugim po to, aby spektakularnie runąć pod koniec. Pojawia się też sukienka - nie tylko jako kostium, ale przede wszystkim rekwizyt. W bardzo prosty sposób symbolizuje aspirację bohaterki do lepszego życia. Jednocześnie, poprzez dowcipny myk z kapeluszem zasłaniającym twarz, pokazuje miłosne zaślepienie. Sukienka znika po jednej scenie. Wystarczająco dużo czasu, aby wykorzystać jej potencjał do maksimum. Nawet gest chowania jej do torby jest symboliczny. Tę samą kreatywność mogę znaleźć w każdym elemencie spektaklu - wykorzystanie światła (wielki szacunek za ujarzmienie sali 221 - najtrudniejszej i najmniej teatralnej sali ŁDKu); muzyki Czesława Mozila, która nigdy nie jest przerywnikiem między scenami - bohaterka wchodzi z nią w interakcję a piosenki są komentarzem do poprzedniej sceny. Twórcy szanują każdy element, z którego budują spektakl. Poświęcają mu uwagę po to, aby jak najlepiej wykorzystać jego obecność na scenie.

MARTA ANDRZEJCZAK

Wszystko, co opisałem w poprzednich dwóch punktach, znalazło się w kreacji Marty. To aktorka, która wychodzi na scenę, aby stać się bohaterką. Nie służy to wymachiwaniu umiejętnościami aktorskimi, tylko opowiedzeniu historii. To aktorka, która całkowicie kontroluje swoje środki wyrazu. Która może przesłonić swoją twarz na czas trwania sceny i dalej komunikować emocje w sposób czytelny dla widza. Aktorka, która śmiało może śpiewać razem z Mozilem i wchodzić z nim w dialog. Wreszcie to aktorka, która wydaje się być zaskoczona brawami - jakby nie wierzyła w swoje umiejętności. Jeśli dzięki temu tworzy takie role - nie wierz dalej. Ale słuchaj braw.

OCENA: 5/5

Piotr Maszorek

STUDNIA ŚMIECHU BEZ DNA

Teatr Zza Boru, na swojej ulotce dotyczącej spektaklu „Cztery Bliźniaczki” zadaje pytanie - Czy daliśmy radę [z tak arcytrudnym materiałem]? I trudno mi odpowiedzieć. Tekst dramatu jest absurdalny i pełen surrealizmu. Sam w sobie jest nośnikiem Toporowych purnonsensów. Daliście radę wytrwać na scenie na niesłabnącym poziomie energetycznym. Daliście radę zaczarować przestrzeń sali 323 w miejsce śliczne choć dziwne. Daliście, a raczej dałyście radę aktorsko - kupuję postaci, takim jakim je stworzyłyście.

A jednak, mam jakiś niedosyt - paradoksalnie - z przesytu. Scenografia nieźle pomyślana, te pluszaki skradły moje serce, a ich wykorzystanie bawiło mnie raz po raz. Kostiumy i muzyka podobnie. Podobała mi się też kreskówkowa konwencja grania. Wszystkie Panie wzbudziły moją sympatię i oczarowały rzucając przekleństwami. Były takie momenty, że wydawało mi się, że niesamowicie żre między publicznością i sceną. A później przyszedł czas jakiegoś przyzwyczajenia. Gagi nadal śmieszne, tylko przestały być zaskakujące, a przez to rozpląnął się urok tego absurdu.

Konwencja zapętlenia jest dla mnie czytelna, jednak "pętlenie" wiodące do "za" było, w moim odczuciu, lekko za długie. Czytam w opisie, że spektakl to forma diagnozy współczesności i analiza kobiecej psychiki - tego zupełnie nie widziałam. O każdym tekście, czy jakiegokolwiek formie sztuki, można powiedzieć, że stanowi komentarz do rzeczywistości, czy diagnozuje byłe czy obecne czasy. Rzeczywistość to studnia bez dna, z której można wyjąć wszystko. A kobieca psychika, czy w ogóle psychika, to skomplikowany konstrukt, który nie jest jedynie zlepkiem skrajności, absurdalności i paradoksów. Poza tym, analiza, to proces, który w efekcie badania, daje finalną ocenę. Brakuje mi w związku z tym, jakiejś głębszej myśli, czytelnej głębszej myśli, jakiegoś podsumowania, które da mi znać, co tym tekstem i tą konkretną formą chcieliście powiedzieć.

Jeśli analizowano psychikę - to do jakich wniosków doszliście. Jeśli komentujecie i diagnozujecie współczesność - to jaka jest ta diagnoza?

Powiedzieć, że żyjemy w absurdalnym, brutalnym, zepsutym świecie, to chyba mało, a też nic nowego.

Mimo wszystko, bawiłam się dobrze. Jednak nie wryło mnie w ziemię, nie poraziło. A czuję, że chcieliście to zrobić.

OCENA: 3,5/5

Pola Lepakhina

Spektra samotności meduzy.

I wtedy wchodzą oni, cali na białą. Z małymi acz efektownymi wyjątkami. Tak brzmiał pierwotny tytuł recenzji, a odnosi się to do estetyki spektaklu. Niezwykle efektownej, warto nadmienić. Jednak od początku.

NIE – POKORNY Teatr "Po godzinach" przygotował spektakl o samotności, jej różnych rodzajach, odcieniach. Mamy aktorkę, samotną matkę, pracującą nad premierą spektaklu "Samotność meduzy". Jak na ironię, bardzo samotną kobietę, szukającą i pragnącą miłości. A dodatkowo poszukującą akceptacji syna. Syn nie potrafi zrozumieć decyzji matki, koncentruje się na sobie, jednocześnie wyrządzając jej jeszcze większą krzywdę. W parku można spotkać wielu samotnych, mężczyznę, którego ukochana odeszła. Czy też nieszczęśliwie zakochanego aktora. A może samotną dziewczynę, która przechadza się po parku tylko po to, by słuchać innych, wtedy jest komuś potrzebna. To tak w dużym skrócie. Ich drogi się krzyżują w różnych miejscach i momentach. To co ich łączy, to samotność.

Twórcy postanowili zmierzyć się z ważnym tematem, istotnym problemem naszych czasów. Pędzimy ku związkom w obawie przed samotnością. Tymczasem można być samotnym wśród ludzi. Może się zdarzyć, że będziemy samotni wśród członków naszej rodziny. Czując się źle, na niewłaściwym miejscu.

Punktem wyjścia dla spektaklu była improwizacja aktorska. Większość dialogów jest do bólu prosta, zbyt prosta. Nie ma żadnych niuansów, sugestii. To kawa na ławę, wszystko wykładamy wprost. Już nie wspominając o ilości wulgaryzmów. Nad tym powinno się zapanować. To racja, że ludzie ich nadużywają. Jednak w teatrze nie jesteśmy na ulicy. Słowo ma znaczenie, jest ważne. I owszem, skoro to potrzebne, niech Karol ich używa. Tylko zamiast trzydziestu niech będzie ich pięć. Wtedy wybrzmiały, inaczej są tylko przecinkami. Kolejnym problemem jest ilość pauz. Pauzy to taki niewdzięczny przyjaciel aktora. Kiedy ich nie ma, to widać ten brak. Rytm jest za szybki, brakuje oddechu. Za to kiedy jest ich zbyt wiele, wszystko siada, pojawia się monotonia i nuda. Rytm staje się senny. Jeszcze pół biedy, gdy jakoś te pauzy wypełniamy. Jednak w przypadku scen granych w niskiej temperaturze, bez ruchu, tak długie pauzy pomiędzy replikami zabijają scenę. Szczególnie to było widać w scenach Marcina. Zarówno z Thomasem jak i Marią. Być może na rytm i energię wpłynął też rozmiar sali. Z jednej strony mogła potęgować poczucie samotności, jednak zabierała pewną intymność spektaklu. I energię, siedząc nieruchomo na dwóch krzesłach, patrząc w widownię jest naprawdę trudno wypełnić swoją energią całą scenę. A inaczej niestety jest zimno, pusto, nijako.

Wizualnie i formalnie to naprawdę dobra robota. Być może ultrafiolet powinien być wygaszany podczas przejść, czy budowania wyobrażonych historii. Jednak to jedynie mały detal. Ultrafiolet z jednej strony ukazuje to czego nie widzimy światłem słonecznym, z drugiej daje nam wizualne nawiązanie do wspomnianych meduz. Kostiumy również były spójne i ciekawe. Nie chcę zbyt wiele zdradzać, ale w pewien sposób również pojawia się meduza. To było naprawdę ładne wizualnie.

Pomiędzy scenami towarzyszył nam monotonny, spokojny bit. Również dopasowany do kształtu spektaklu, aczkolwiek z biegiem czasu, był już lekko usypiający.

Widać, że są to bardzo inteligentni ludzie w różnym wieku. Każdy zajmuje się teatrem "po godzinach", chcą tworzyć wartościowe rzeczy i mówić o tym co widzą. Posiadają wrażliwość i chęci. Mają świetne pomysły, są pracowici. Wierzę z każdym kolejnym rokiem ich spektakle będą tylko lepsze. Tym razem niestety było trochę za mało tego co najważniejsze.

Było naprawdę ładnie, niektóre sceny były naprawdę dobre, ale... zabrakło tego co najważniejsze. Emocji i energii, nawet kiedy to spektakl o samotności aktorzy nie mogą być tak zimni. A samo krzyczenie nie zawsze się równa dawaniu energii, o emocjach nie mówiąc. Scena bójk bardzo dobra, naprawdę dobrze pomyślana, ale czy aż tak potrzebna? Czy potrzeba aż tak wielu historii by opowiedzieć o różnych aspektach samotności? W efekcie wszystko było tylko dotknięte i to dość płytko. Dzięki swojej uważności, empatii, wrażliwości zauważyliście problem. Postawiliście tezę. I tyle.

Rolą teatru jest oddziaływanie na widza. Zmienianie go, wpływanie na niego. Zadawanie pytań, pomaganiem w szukaniu odpowiedzi. Tutaj była tylko niestety dość płytka konstatacja faktu.

OCENA 3/5

Remigiusz Pilarczyk

FACE TO FACE "Pasożyty"

Zespół Zbyszka Rudeckiego to dla mnie trudna do zniesienia miłość. Spotykamy się na przeglądach teatralnych od kilku lat i przez ten czas obserwuję jego nieustanną i inspirującą walkę z materią teatralną. Z każdym rokiem są coraz lepsi i widać zwiększającą się świadomość ich umiejętności oraz środków ekspresji. Za każdym razem jednak nie ułatwiają sobie życia, zabierając się za teksty, z którymi teatry amatorskie po prostu nie mają szans. Jest w tym naiwność, ambicja i czasami spektakularna porażka. Chociaż może to nastawiać negatywnie do F2F, ja nie mogę odmówić sobie podziwu dla ich starań. Jak wypadła ich tegoroczna walka?

Tekst Mariusa von Mayenberga przypomina mi połączenie twórczości Doroty Masłowskiej z filmami Nikity Michalkowa. Jedno z nich kocham, na drugie mam reakcję alergiczną, czyli mogę być tendencyjny. Mamy wypranych przez życie, karykaturalnych bohaterów, których łączy wzajemna nienawiść i wspólna przestrzeń. Obserwujemy ich wymuszoną koegzystencję w pułapce czterech ścian i leniwe rozmowy ociekające jadem. Oczywiście, jest to studium samotności w tłumie. Jest w tym rozpaczliwa potrzeba bliskości, która w końcu ustępuje miejsca żerowaniu na drugim człowieku. Wszystko prowadzi do tragedii, do ostatecznej formy pasożytnictwa - pasożyt zabija żywiciela. Niektóre z elementów tekstu niemieckiego dramaturga przedstawiliście cholernie trafnie. Podoba mi się statyczność scen skupionych wokół stołu. Podoba mi się uwięzienie bohaterów przy nim. Pomysły na ruch sceniczny przy takich ograniczeniach także były trafne. Podobają mi się aktorzy i ich interpretacja postaci. Jak napisałem we wstępie - przebyliście długą drogę i to widać i biję Wam za to brawo.

ALE...

Jest w tym wszystkim monotonia. Całość pomimo starań aktorów płynie jednostajną nutą usypiając widza. Winię decorum. Wzięliście ciężki tekst - zrobiliście go w ciężki sposób. Jakiegokolwiek elementy humorystyczne, a jest ich dużo, zabił dramat przez duże D. Humor jest tutaj kluczem. W końcu jeden z bohaterów tak bardzo kocha, że staje się psem. Tak absurdalna sytuacja wywołuje śmiech, podszyty współczuciem. W waszej interpretacji jest tylko dramat. Gdybyście pozwolili sobie na odrobinę lekkości, po pierwsze dalibyście sobie więcej możliwości aktorskich i reżyserskich. Po drugie, dotarlibyście w większym stopniu do widza, nie wieszając mu na szyi ciężaru egzystencji piątki bohaterów. Po trzecie, przy bardziej humorystycznej konwencji zakończenie "who dunnit" lepiej by się wkomponowało w całość. Być może nawet moglibyście otworzyć spektakl od zagadki morderstwa, zaintrygować widza i zachęcić go do odkrycia całej historii. Forma, którą obraliście, alienuje widza, zamiast zachęcać go do środka tych czterech ścian. Czasami warto poświęcić ambicję zamierzeń na rzecz tworzenia "pod publikę", gdyż może to być jedyny sposób, aby przekazać myśl, która Wam chodziła po głowie.

OCENA: 2/5

Piotr Maszorek

Walczcie dalej. Czekam na to, co zrobicie za rok.